ŻOŁNIERZ ROSSYYSKI
I MŁODA ORMIANKA.
Zdarzenie współczesne.

Podczas mojego w Armenii pobytu, zwycięzkie woyska Rossyyskie zbroynie wstępowały na tę ziemię; wiadomo zdumionemu światu, jakie powodzenie, ich dzielne przedsięwzięcie uwieńczyło. Posiadłości tego potężnego, a dziś dającego prawa ledwo nie całemu światu Mocarstwa rozciągnęły się aż po Arax. Tysiące wojowników sławiańskich, przenosząc się od brzegów Baltyckiego, nad Kaspiyskie morze, okryły Armenią. Dzikość nieprzyjaciela i zabóyczy klimat, nie zdołały zachwiać ich nieugiętego męztwa: z tém wszystkiem choroby zarazliwe przerzadzały szeregi, zabierając walecznych, którzy rozstając się z życiem w kwiecie wieku, tey tylko żałości doświadczali, że im za Wiarę, Monarchę i Oyczyznę, z bronią w ręku nie dostało się umierać. Znajomość nauk medycznych, niejednokrotnie pozwoliła mi otrzeć łzy bohaterskie; zpomiędzy wielu miałém szczęście uratować, od żółtey gorączki, młodego żołnierza, który się nazywał Piotr Starowski: nabrałem wielkiey przychylności do tego młodzieńca, który, zdawał mi się łączyć z bezwzględném posłuszeństwem, nieoddzielném od karności woyskowey, przymioty moralne, rzadkie w jego stanie.

We cztéry lata po mojém oddaleniu się z Armenii, znowu mię tam obowiązki powołały, i jużem się dłużey zatrzymał w tym kraju, niż za pier-

wszym pobytem. Już zwycięztwa szczęśliwe wszystkiego dokonały: miecz krwią zbroczony już spoczywał w pochwach. A ta uroczna kraina, rozmaitością zachwycających widoków, okazałością wspaniałą gór niebotycznych, mieszaniną zadziwiającą piękności dzikich i wieyskich, zbytkiem życia roślinnego, rzekami okazale płynącemi, śmiejącemi się dolinami; zaczęła nabierać słodkiey otuchy, przeszedłszy pod berło Mocarza, który, niechętnie dobywając oręża, uszczęśliwia pokonanych. Uradowani mieszkańcy składali hołdy niebu za pomyślność wybawców swoich, wrożąc niechybnie, że ich niwy, pustoszone od tysiąców lat, zakwitną i obfitym okryją się plonem; grody podniosą zagrzebane w gruzach czoła; swoboda zmartwychwstanie, a ich nadobne dziewice, już odtąd nie będą służyły roskoszom haremow.

Starowski, któregom znalazł jeszcze w Armenii, opowiedział mi swoje przygody, które nie są pozbawione interessu, i malują żywo stan oświecenia tych krajow, o które barbarzyństwo z cywilizacyą stoczyło krwawe boje. Opowiem przeto wszystko wiernie, co mi doniósł ten młody Rossyanin. Był to wojownik dosyć urodziwy, oczy miał pełne wyrazu; na twarzy jego malowały się wesołość i zdrowie, których widok uymuje i zniewala. Jako dobry żołnierz, wszystkie swoje obowiązki z naystarannieyszą dokładnością wypełniał: uległy naczelnikom, miał jeszcze zdolność do wielu robot ręcznych. Rzemiosłem jego było ciesielstwo; skąd często do rozmaitych robot był używany: i pomimo niezmierney odległości, jaka w woysku pomiędzy przełożonym a podległymi zachodzi, oficerowie wyżsi, którym się on starał za-

służyć, którzy lubili jego wesołość, odróżniali go od innych jego współtowarzyszów. Pisząc to, zdaje się, że go widzę, w kolorowey koszuli, w którą się ubierał do pracowania, z narzędziami swojego rzemiosła w ręku, w okrągłey nizkiey czapce z lekka pochyloney na bok, nócącego wesoło piosnki swojego kraju i zwracającego na siebie spóyrzenie nie jedney Georgianki z oczyma w kształcie migdała otwartemi.

Znaydował się on od sześciu miesięcy w garnizonie tifliskim. To miasto, którego tylu podróżopisarzów kreśliło przepych oryentalny, wystawia zwaliska opustoszałe, mianowicie w częściach wyższych, gdzie całe ulice są zawalone, ułamkami kamieni i gruzu. Pewnego wieczora, kiedy Piotr Starowski, odbył swóy dzień żołnierski i rzemieślniczy, poszedł zwiedzić te wyższe części miasta, o których wspomniałem, i wstąpić na górę, o którą się Tiflis opiera. Na jednym zawrócie ulicy opuszczoney, postrzegł uciekającą kobietę, i natychmiast nawinął mu się młodzieniec ubrany po georgiańsku, który ją doścignąwszy, wpół pochwycił. Biała zasłona o dwóch otworach na przeciw oczu, zasłona, która zakrywała twarz, spuszczając się aż na piersi dziewicy, spadła, i odkryła jednę z tych twarzy urocznych, wzór piękności, które kupione za cenę złota, albo zdobyte orężem, zaludniają seraje azyatyckie. Dziewica, wydała krzyk przeraźliwy, porywca, unosi zdobycz. Starowski poruszony uczuciem politowania, dobywa miecza i leci na jey obronę i ratunek. Pod arkadą na wpół rozwaloną stał drugi człowiek trzymając za cugle konia; i ku temu mieyscu, złoczyńca pośpiesza ze swoją zdobyczą. Jedną

ręką zatykając gębę młodey dziewicy, tłumił jey wrzaski, a drugiey skinieniem dawał znaki służącemu. Skoro tylko uyrzał żołnierza rossyyskiego zmierzającego ku sobie z dobytym mieczem, porwał za *kummech*, to jest, za puginał georgiański, który błyszczał u jego pasa, a zasłaniając się dziewicą przed razami jey obrońcy, wołał nań po ormiańsku: ,, oddal się!" Starowski nieśmiejąc ugodzić z bojaźni, ażeby jego cięcia nie spadły na tę, którą chciał ocalić, porwał gwałtownie za rękę trzymającą dziewicę i wraz lewą swą ręką wyjął zza pasa siekierę ciesielską. Dziewica upadła na ziemię jakby nieżywa; porywca ozwał się na trwogę, przez pewny przedłużony sposób gwizdania, którego tu używają chcąc wezwać na ratunek odsiecz oddaloną: a tym czasem błysnął straszliwie sztyletem nad głową Rossyanina: ale nim ugodzić zdążył, już mściwa siekiera doścignęła mu czoła; po czém upadł nurzając się w krwi własney strumieniach. Sługa przerażony śmiercią swojego pana, dosiadł rumaka i uciekł. Starowski pozostał zdumiony, pomiędzy skrwawionénı ciałem złoczyńcy, a zbladłą i obumarłą dziewicą.

Gotował się na nową walkę; lecz żaden się nieprzyjaciel nie zjawił. Miał w tę porę dosyć czasu przypatrzyć się twarzy i odzieniu swojego przeciwnika. Człowiek ten był wysoki i okazałey postawy. Czapka futrzana, którą okrywał głowę, spadła od dąsania się wśrzód świeżych zapasów, i dozwoliła widzieć wyraźnie, te męzkie i straszliwe rysy, któremi zapał namiętności i woli, oblicze jego napiętnował. Zgoła, można tu było widzieć, charakter właściwy hordyńcom kaukazkim. Krew płynęła obficie z czoła rozciętego, a

kurcz straszliwy miotał jego członkami. Wśrzód tego konania, jeszcze się wydawała gorąca chęć zemsty, i ta dzikość rodowita, która się urągała ze śmierci obecney, i nad boleścią samą zdawała się panować. Chociaż Piotr był przekonany wewnętrznèm sumnienia świadectwem, iż dobrze postąpił, poświęcając ofiarę nieodbicie potrzebną, zbóycę i porywcę: z tém wszystkiém, trup ten przed nim rozciągnięty, zgrzytający zębami, okropney postawy, a którego czoło skrwawione oświecały bladawe promienie xiężyca; trup ten, mówię, uczynił na umyśle odważnego żołnierza, wrażenie okropności trudney do wydania. Daremnie próbował orzeźwić z omdlenia i przywrócić do zmysłow młodą dziewicę, która nawet lekko się raniła upadając; a jey omdlałość trwała bez przerwy. Starowski wziął ją na ręce, i powoli zaczęła przychodzić do siebie. Usłyszał on stąpanie i wołanie razem. „Nuże! rzecze niecierpliwie do młodey dziewicy, powiedź mi ktoś jest, i gdzie mieszkasz, a ja cię do domu odprowadzę!”

— Boże! zmiłuy się nade mną, zawołała dziewica drżącym głosem: nie znam zgoła tego miasta; wczora tylko raz pierwszy tu z oycem moim przybyłam. Nie dawno straciłam go z oczu, wśrzód tych rozwalonych domów; pozostał był nieco za mną; szukałam go właśnie oczyma, kiedy ten zbóyca straszliwy mnie pochwycił. Wyrwałam mu się raz pierwszy i uciekłam szczęśliwie. Ale on goniąc za mną oddalił mię teraz, i niewiem gdzie, z mieysca, na którém oyciec móy pozostał. Niech święty Jerzy raczy mię zachować w swojey opiece!”

Ledwo tych słów domówiła, kiedy usłyszano

coraz wyraźniey wołania dalekie: „Zuzanno! Zuzanno! gdzie, ty jesteś? Dziewica odpowiedziała głosem radości, i udała się ze swoim wybawcą ku mieyscu, skąd te wołania zdawały się przybywać. Byłto stary oyciec Zuzanny, który naszukawszy sięjey długo wśrzód tych ulic opustoszałych i zawalonych, zbliżył się nakoniec ku mieyscu gdzie się stoczyła walka, między Starowskim, a jego przeciwnikiem. Nasz wojak z siekierą skrwawioną w ręku, z odzieżą w nieładzie, wydał się starcowi, nie jako zbawca jego córki, ale jako zbóyca i morderca: cofnął się przejęty bojaźnią. Potém na widok swojego jedynego dziécka, które się rzuciło z płaczem w objęcia jego, wybuchnął z przeklęstwami i obelgami przeciwko biednemu Starowskiemu, tak źle nagrodzonemu za swoje bohaterskie poświęcenie się. Potrzeba było długich tłumaczeń i świadectwa Zuzanny, do pokonania wątpliwości starca, i dla nakłonienia go, ażeby wierzył, że ten żołnierz był uczciwym człowiekiem: „To mieysce jest niebezpieczne, rzecze mu żołnierz rossyyski; uchodźmy żywo; potém się rozmówimy. Swiadczę się Bogarodzicą, a nawet świętym Mikołajem, (niech ich przyczyna mię zbawi!) że nic mi nie masz do wyrzucenia. Ale śpieszmy się!" Zwolna upor starca ustąpił oczywistości: dowiedział się jakim sposobem córka jego jedyna, ledwo mu nie była na zawsze wydarta przez jednego z tych wodzów Czyrkaskich, którzy żyją z łupieztwa, i kradną wszystko, nawet swoje żony: z jakiém męztwem, Starowski naraził swoje życie i jaka mu się wdzięczność należała.

Gurgin Burrdik z Kuszanlu (tak się nazywał oyciec Zuzanny), był dzierżawcą armeńskim, ob-

cym w Tiflis, dokąd przybył onegday, i gdzie pewny jego ziomek kupczący jedwabiem, nazwiskiem *Kuža-Szatur*, udzielił mu gościnności. Piotr, którego długi w tém mieście pobyt zaznajomił ze wszystkiémi szczegułami mieyscowości, obcemi Gurginowi, zaprowadził go do pomieszkania Kužy-Szatura, które było nieopodal od wielkiego karawan-seraju; a starzec osypawszy go błogosławieństwy i podziękowaniami, zaprosił do domu swojego gospodarza dla przepędzenia wspólnie wieczora. Wszystkiego, co tylko wyraz miłości rodzicielskiey, oraz nayžywsza i nayczulsza wdzięczność wschodnia w sobie zawiera, nie szczędzono dla Starowskiego: i obay starcy (albowiem, kupiec jedwabiów był tegož wieku co i Gurgin) otworzyli swoje szkatuły młodemu Rossyaninowi. Rozłožono na stole bogate futra, materye jedwabne i złotem przetykane, i proszono ažeby z nich sobie, co się podoba, wybrał, na pamiątkę wdzięczności Gurgina i w zakład ich przyjaźni. Starowski nic nie przyjął oprócz kosmatey burki nazwaney u krajowców *yarpunszi*: okrycie właściwe tamtym stronom, i pospolite pomiędzy wszystkiemi klassami mieszkańców. Jakem chrześcijanin, rzekł im, mniemałbym, že się zrzeka nade mną opieki Bogorodzica, žebym to, co dla was uczyniłem, przedawać miał w zamiarze. Spełniłem moję powinność, niosąc ratunek twojey córce. Žołnierz rossyyski, którego przed sobą macie, nie jest bogaczem; zasiądzie on chętnie do waszego stołu, jeśli mu nie odmówicie gościnności; a ta burka zasłoni go od deszczu, który często w tych stronach padaale ja nie przyymę waszych pieniędzy. Znałem ja wielu bogatych oficerów, którzy

za nie kupowali wino georgiyskie, i nadobne tego narodu dziewice: ale cóż ztąd? pierwsze człowieka odurza, drugie zaś wystawia go na sztylety Czyrkasow: co jest bardzo rzeczą niebezpieczną, jak sami znacie, moi oycowie, a bardzo pospolitą w Armenii. A zatém, przyymuję chętnie tę burkę; proszę was, ażebyście byli moimi przyjaciołami, a wszystkie inne dary zatrzymaycie u siebie: z resztą któż wie, czy wy jesteście bogatszymi nade mnie?

— Móy synu, odpowiedział z powagą starzec: jesteś królem walecznych, i perłą wspaniałomyślności pomiędzy dziećmi zbawiciela. Przyym co ci ofiaruję; jestem wprawdzie tylko dzierżawcą: ale ponieważ naczelnicy nasi, bądź chrześcijanie, bądź muzułmani, sąto prawdziwe bicze na bogatszych, więc się w tym kraju nie zwykło nigdy publicznie otwierać swojey szkatuły, zwłaszcza przed tymi, którzyby chcieli z jey źrzódła czerpać: ale ja mam jeszcze w odwodzie nieco złota na wielkie okoliczności. Zaklinam przeto cię na imie wielkiego patrona Armenii, ażebyś nie chciał mojey ofiary odrzucać; zrobiłbyś mi przez to wielką przykrość. Mieszkam ztąd bardzo daleko. Moja dzierżawa położona jest na małey dolinie blisko Kar-Ekklizia. Jeżeli kiedykolwiek zdarzy ci się zwiedzić tamte strony, nie chciey mię omijać. Gurgin Burrdik przekona ciebie, że dobrodzieystwa nie spadają na niego, jak ziarna zbożowe na jałową skałę. Nie długo się w Tiflis zabawię. Odwiedzay mię często razem z moim przyjacielem Kużą: i bogdayby błogosławieństwo wszystkich świętych przebywało z tobą, przez którego odzyskałem moję jedyną córkę!

Piotr wprowadzony do domu Kużу, z okoliczności tak dla niego chlubney i świetney, a nader szczęśliwey dla Gurgina i jego córki, korzystał z zaproszenia. Kiedy tylko mu służba zostawiła czas swobodny, widziano, jak pośpieszał do kupca jedwabiow, gdzie przyjęcie nayserdecznieysze jego oczekiwało. Nie dopuszczały mu obyczaje wschodnie rozmawiać wprost z Zuzanną; a młoda dziewica nie mogła się bez zasłony ukazywać. Ale już on raz oglądał, i nawet przez czas niejaki, te policzki różane, których szkarłat przypominał rumianość brzoskwini; te piękne oczy błyszczące ogniem wilgotnym; te usta świeże, pełne wdzięku, nad których barwę rumianą, nic czystszego wyobrazić nie podobna.

Piękna Zuzanna oglądać nie mogła, bez przyjemności i uczucia, tego, który ją uratował. Była to dziewica bojaźliwa i prosta, lekka jak sarneczka, czuła i nieśmiała, pozbawiona sztuczności, i cała oddana tym uczuciom pierwotnym, których wyższa cywilizacya świeżość nadweręża. Stojąc w ustronnym kątku izby, zwracała z uwagą na cudzoziemca weyrzenia, których wyraz taił się pod zasłoną, ją okrywającą, która się niekiedy, zapewne trafem, nieco podnosiła. Oczy jey spotkały się z oczyma żołnierza, i natychmiast szybko, jak błyskawica, zniknęła.

Gurgin opuszczając Tiflis ze swoją córką, powtarzał często przed Starowskim, że jego obecność w Kuszanlu, będzie dla całey rodziny epoką rozkoszy i szczęścia. Młody Rossyanin wkrótce odmienił stanowisko: przemieszkiwał na przemiany w rozmaitych kantonach, dokąd go powoływała potrzeba służby; a przemieszkawszy więcey

roku w Szyrwanie, odebrał nakoniec rozkaz udania się ze swoim pułkiem do Kar-Ekklizia, niedaleko od pomieszkania Gurgina. Życie obozowe nie sprzyja marzeniom miłośnym. Starowski patrzał się na wielu ze swoich towarzyszów, umierających z utrudzenia, albo ginących od zaraźliwych chorób. Długie i mordujące pochody, krwawe utarczki z Czyrkasami z gór wypadającymi i w pojedyńczych oddziałach zastępującymi drogę wojownikom rossyyskim; prace ciężkie i ustawiczne, powinny były osłabić w wyobraźni młodego żołnierza, pamiątkę jego przygody bohatérskiey, jego bitwy z Georgianinem i odwiedzin u Kuży-Szatura. Niekiedy jednakże, kiedy czuwał pod bronią, albo spoczywał pod namiotem, widzenie bozkie jemu się ukazywało; ale to czarodzieystwo oddalone, ta obłędna pamiątka Zuzanny, żadnego głębokiego śladu w sercu Starowskiego zostawić nie mogły. Nie byłato dla niego rzeczywistość żyjąca, byłoto marzenie o dniach upłynionych, marzenie lube i dziwaczne.

Jednakże nie długo przemieszkał w Kar-Ekklizia, kiedy jeden z jego towarzyszów wspomniał imie Kuszanlu: wyraz ten obudził w umyśle Starowskiego nieco zatartą przygodę tifliską i przyjaciela Gurgina. „Tu jest, przypominam go bardzo dobrze, mówił sam w sobie. To tu, niedaleko Kar-Ekklizia, dzierżawa jego jest położona. On tak mię zapraszał, żebym go odwiedził. Czy też przypomni mię sobie? Znaydęż w życiu tego poczciwego starca, który mię tak ludzko przyjął? a jego córka! musiała już urość; taka była piękna: i jest nią zapewne!...” W tém odgłos bębna przerwał monolog młodzieńca. Pasterz arkadyyski

w tak wdzięcznych dumaniach i w równie melancholicznych marzeniach, dłużeyby się zatapiał. Ale kiedy się służy pod bronią, jest co innego do roboty: a parada, która Starowskiego powoływała na swoje stanowisko, służyć mu powinna za wymówkę w obliczu naywięcey wymagających czytelniczek.

Wieczorem, tego dnia, kiedy przypomnienie Gurgina nawinęło się jego umysłowi, znaydował się na straży, i obojętném okiem pogladał na oficerów i na żołnierzy, którzy mu się nawijali; kiedy niespodzianie, w rzędzie pierwszych, obaczył twarz, która mu się wydawała bydź kiedyś znajomą. Im więcey się przypatrywał temu oficerowi, tém pewnieyszego nabierał przekonania, że go kiedyś gdzie indziey widział: ale nie mógł zgoła przypomnieć sobie w jakich okolicznościach i na jakiém mieyscu. Jednakże ten widok dawał mu uczuć wstręt jakiś i zgrozę mimowolną. Byłto mężczyzna wysokiego wzrostu, bogato odziany, przyozdobiony wielu orderami, z czołem okrytém czapką futrzaną czarną, spuszczoną na oczy. Przez to nakrycie rzucony cień, zasłaniał część jego twarzy, i przykładał się bez wątpliwości do nadania jego fizyognomii wyrazu ponurego i dzikiego, który, charakter wybitny jego rysów powiększał. Nasz żołnierz zgromadził w sobie wszystkie przypomnienia, ażeby zdać sobie rachunek dostateczny z wrażeń, jakie widok tego oblicza surowego i pysznego, na jego umyśle sprawował. Jakiś rodzay trwogi tajemney zdawał się przywiązywać do tego niepojętego człowieka. Starowski zdumiewał się nad swojémi wzruszeniami: osobliwsze wyobrażenie jęło się jego umy-

słu. Byłżeby to?... ale nie; co za związek zachodzić może między oficerem rossyyskim, a zbóycą georgiańskim? Żołnierz odrzucił wkrótce to dziwaczne, swojey wyobraźni urojenie, jako rzecz z podobieństwem nawet do prawdy niezgodną. Tymczasem oko czarne i zaiskrzone oficera, wlepione weń było z wyrazem osobliwszym. Starowski rozmyślał noc całą nad tym zjawiskiem, które obudzało w nim tłum przypomnień i przestrachów niepewnych.

Wreszcie otrzymał nasz żołnierz uwolnienie tygodniowe od czynney służby, i korzystając z tego wolnego czasu, śpiesznie udał się do Kuszanlu. To miasteczko leży o wiorst szesnaście od Kar-Ekklizia, w dolinie zapadłey i wązkiey, przerzniętey spadającym z gór strumieniem, którego wody giną w nurtach rzeki Bembeku. Grunt jeży się skałami, wśrzód których ukazują się niekształtnie rozrzucone domy wieśniaków, z ogrodzeniami otoczonémi wielkiemi zieleniącemi się dębami. Wzgórze, panujące nad wioską, wznosi się ponad nią w amfiteatr i rozwija przed oczyma bogactwo życia roślinnego, któremu jeszcze uprawa przyczynia piękności i przepychu. Po obu stronach doliny wznoszące się dwa gór pasma, zamknięte w ich końcu, podobnąż wyniosłością, uwieńczone gęstémi lasami i okryte buyną trawą, zamykają jakby w ramach, ten obraz, razem samotny i świetny, ponury i malowniczy.

Starowski opuścił Kar-Ekklizią nad wieczór: i zbliżał się do Kuszanlu, we trzy, lub cztery godziny od chwili udania się w podróż. Piękna noc jesienna, wpół oświecała żniwa, już doyrzałe i okoliczne lasy, łagodny blask, rzucony na ten o-

braz, taił jego sterczące nierówności i prostował obwody. Droga, idąca z razu równolegle ze strumieniem, oddalała się od niego zwolna, spuszczając się ku dolinie, na któ ey pochyłości wznosiła się wioska. W miarę, jak żołnierz zstępował, postrzegał zniżający się grunt doliny, ze swoim strumykiem, otoczonym podwóynym rzędem dzikich hebanów, i z niewielkiemi osadami, których pokrycia, bladawe promienie xiężyca, odbijały. Drożyna zakręcała się często na około skał granitowych, z których żywe źrzódła wytryskały; a te kręcąc się naokoło opok, gubiły się w głównym strumieniu. Starowski znalazł się nad brzegiem wody, w którey jeszcze kilka młodych dziewcząt myło bieliznę: za jego zbliżeniem się pierzchnęły; widział przez czas niejaki ich powiewne szaty niknące i ukazujące się wśrzód zarośli, i wszystko umilkło. Ledwo głuche ryczenie krowy, wzywającey znajomey ręki, która co wieczór zwykła nieść ulgę jey wymionom, przepełnionym mlekiem; ledwo odgłos daleki wieśniaka, powracającego z lasu, i oznaymującego swóy powrót utęsknioney rodzinie; ledwo przerywane psów pilnujących domu szczekanie, zakłóciło przez chwilę powszechne milczenie. Byłto widok uymujący cichością spokoynego blasku. Wychowanie wojenne żołnierza rossyyskiego, nie zamknęło jego serca na wszystkie wrażenia przyjemne i czułe, jakiemi nas przyrodzenie przenika, a jakim naytwardsze dusze oprzeć się nie mogą.

Stojąc nad wodami błyszczącémi się od promieni xiężyca, przypatrywał się w zadumaniu tey spokoyney scenie, kiedy znagła gór echa rozliczne, powtarzając krzyki okropności, jęki, groźby i

tętent wielu rumaków, przerwały Starowskiego rozmyślania. Wkrótce postrzega wielu jezdnych, którzy w pełnym biegu przemykali przez zaroślę. Nabija broń swoję, i pośpiesza na to mieysce, w którém ścieżka, prowadząca jezdców, przerzynała główną drogę. Wszystko to, przypomniało mu przygodę w rozwalinach tifliskich, przygodę, która przed trzema laty, zawiązała jego przyjaźń z Gurginem. Stosowność stała się bardziey uderzającą, kiedy postrzegł kobiétę, która się opierała jednemu z tych jezdców, a którey suknie w nieładzie, czepiąc się krzewów zarośli, opóźniały skwapliwy pośpiech jey przeciwnika. Stanął na zasadzce, śledzi ich poruszenia, i już wziął na cel porywcę; kiedy krzyk przedłużony, jaki wydała ofiara, wzywający „*ratunku! na imie wszystkich świętych*" obił się o jego uszy. „To ona! ona sama! zatrzymay się, zawoła porywając za cugle konia, uwolniy twą zdobycz, albo natychmiast umrzesz!" i w tém przykłada karabin do piersi jezdca.

„Znowu ty! zawoła ten ostatni. Zawsze ty! piekło ciebie przysyła dla sprzeciwiania się moim zamysłom; wnet ja ciebie tam odeszlę. Essufie! Murzuchu! przybywaycie co żywo! trupem mi tego nędznika położyć! "

Dwóch ludzi nadbiegło: jeden z nich wywinął szablą nad głową Starowskiego: żołnierz rossyyski prędszy od błyskawicy, zwrócił ku niemu karabin i wystrzelił: napastnik padł bez duchu, a rumak wspina się, zrzuca swojego pana, trzymającego nieszczęśliwą brankę wpół obumarłą. Rossyanin pośpiesza ku młodey dziewicy: to była ona, tak, to Zuzanna! podnosi ją, i porywając w objęcia przekonywa się, że żyje. Mieszkańcy wioski obu-

dzeni i zatrwożeni tym rozruchem, pośpieszają na mieysce zgiełku: uyrzano światła zbliżających się pochodni, a echa powtórzyły stąpania wieśniaków. Starowski nabił powtórnie broń swoję, a towarzysze porywcy pierzchnęli. „Szalony! nędzniku! ozwał się głos ponury i straszliwy; dwakroć zastąpiłeś mi drogę; dwakroć naraziłeś na niebezpieczeństwo moje życie; dwakroć wydarłeś mi moję zdobycz. Zobaczymy się!" Kiedy tych słów domawiał, xiężyc, zakryty dotąd obłokiem, zdawał się odrodzić na niebie, i oświecił czoło obnażone zbóycy. Co za przedmiot podziwienia dla Starowskiego! byłto tenże sąmy Georgianin, z którym się on rozprawiał wśród ruin Tiflisu; tenże sam ubior, toż samo oblicze; a na lewey skroni głęboka blizna, którą tam siekiera żołnierza wypiętnowała, blizna ta podobną była do wrębu czarniawego, wyżłobionego głęboko na tém dzikiém czole.

Georgianin ujął lewą reką za grzywę rumaka; prawa zaś, wywichnięta w czasie upadku z konia, wahała się bezczynnie przy boku. I to było przyczyną małego oporu, którego Starowski doświadczył z jego strony. Puszcza konia w zawód, a dobywając pistolet z olstry swojego siodła, na oślep wystrzeli ku Starowskiemu. Ten mu również chybionym wystrzałem odpowiedział z muszkietu; i natychmiast porywca chowając się w lesie zniknął przed wszystkich oczyma.

Przeznaczeniem było naszego przyjaciela wrócić Zuzannę dwakroć jey oycu, i dwakroć być mianym za porywcę tey, którą uratował. Wieśniacy go otaczają: jego broń kurząca się jeszcze, jego odzienie krwią splamione, jego postawa wojownicza, młoda dziewica, którą trzymał w obję-

ciach: wszystkie podobieństwa zwaliły na niego winę, którey mylne pozory obecność starego Gurgina rozproszyła naostatek. Prowadzono, a raczey niesiono Starowskiego do domu. Wdzięczność była rozrzewniająca; Zuzanna skrapiała łzami twarz i czcigodną brodę swojego oyca. ,,To Starowski, to twóy dawny przyjaciel, który mię ocalił znowu! mówiła do niego. — Starowski! póydź w moje objęcia, ty naywalecznieyszy i nayszlachetnieyszy z chrześcian! Bogdayby wszystkie błogosławieństwa bozkie i świętego Mikołaja zstąpiły na twoję głowę! Póydź, niech ciebie uściskam wraz z moją córką! Kocham i błogosławię ciebie, jak jey brata! . . . Ale cóż to? jakąż to krwią zbroczony jesteś? — On raniony! zawoła Zuzanna blednieiąc. Zbliżono pochodnią i postrzeżono, iż kula drasnęła zlekka skórę ramienia i sprawiła ten przerażający krwotok. Wnet nayczulszych około ranionego nieszczędzono starań: a wkrótce potém z tey nagłości wypadków i ich osobliwości, zrodziła się między Zuzanną, a młodym Rossyaninem ta nieoceniona zażyłość, niewinnieysza i słodsza może od samey miłości: zgodność sympatyi tajemney, która zbliża dwa serca, łącząc je mimo wiedzy: urok zachwycający, którego wschodnie obyczaje nie poymują, a który składa naywiększą rozkosz cywilizacyi europeyskiey.

W Armenii i w Georgii, nic niémasz pospolitszego nad porywanie kobiét: są one tam nie tylko przedmiotem żądzy i miłości, ale nawet zysku. Całych hord bywa rzemiosłem kradzież i przedawanie dziewcząt: przetoż Zuzanny przygoda, małoby zastanowiła mieszkańców Kuszanlu, bez tego szczegółu osobliwszego, który Gurgin i Starow-

ski, przez swoje opowiadania uczynili powszechnie znajomym. Ten sam człowiek, który się kusił porwać Zuzannę w Tiflis, ścigał ją aż w Kuszanlu. A więc to córka Gurgina była celem wyłącznym usiłowań napastnika! Gubiono się w domysłach, ażeby zgadnąć do jakiego narodu mógłby należeć ten zbóyca tak uparty. „Może to, rzekł jeden z braci Zuzanny, na imie *Ewannis*, jaki wojownik z tych pokoleń tureckich, które zamieszkały wyżyny Szaragilu." Drudzy utrzymywali, że napastnik był Persem; inni znowu mówili, że to był Czyrkaszczyk: ale zagadnienia nayważnieysze zawsze do rozwiązania pozostawały. „Jakim sposobem ten człowiek mógł się zdobydź na podobne kuszenie się w obliczu woysk rossyyskich; i jak Zuzanna, zawsze ukryta w domu oycowskim, mogła żądze tego cudzoziemca obudzić?

Starowski, na wdzięczney goscinie, cały czas uwolnienia swojego z czynney służby przepędził. Jego wesołość i otwartość, całey się rodzinie podobały: może także roztropność starca, którego posiadłości leżały blizko teatru woyny, życzyła sobie zapewnić na czas niejaki obrońcę w osobie tego rossyyskiego żołnierza, szacowanego od swoich naczelników, którym jego prawość była znajoma równie, jak poświęcenie się i męztwo. Cóżkolwiek bądź, wypadki tego zdarzenia takiemi były, jak je łatwo czytelnicy nasi mogą przewidzieć. Nayżywsza miłość opanowała serca Zuzanny i Piotra, a dziewica ormiańska, której się uroda codziennie rozwijała, i stawała się doskonalszą, traciła stopniami nieco z tey bojaźliwości, którą samotność i przykład matek, zawsze w niewoli i ślepo uległych, wraża dziewicom tego kraju.

Po upłynioném uwolnieniu, nowa okoliczność dwoje kochanków zbliżyła: mówię kochanków; bo chociaż nie zrobili sobie żadnego wyznania wzajemnych swoich uczuć, to się naźwisko jednak słusznie im należało. Dolina około Kuszanlu, wybrana była na stanowisko dla woyska, a Piotrowi, jako cieśli, poruczono przewodnictwo budowy koszar. Tak więc znalazł się bezpośrzednie, pod wpływem uroków Zuzanny, a jego do niey przywiązanie, ode dnia się do dnia pomnażało. Nieprzystałoby rodzinie Gurgina i jemu samemu, obchodzić się mniey uprzeymie z kochankiem jego córki, która jemu dwakroć swoje ocalenie winna była. Jednakże, do spełnienia życzeń kochanków, zachodziła przeszkoda: pomiędzy bogatym osadnikiem armeńskim, a ubogim rossyyskim żołnierzem, odległość była znaczna. Pierwszy miał dostatki, liczną służbę, podległych sobie włościan, i żył jak zamożny patryarcha; drugi, wystawiony na wszystkie trafunki woyny, niczego się nie spodziewał, oprócz swojey mało znaczącey płacy, a może, w oddaloney przyszłości, stopnia sierżanta. Więc obie strony pozostać musiały *in statu quo;* co jak wiadomo, w rzeczach prywatnych i publicznych jest nayniebezpiecznieysza. Lecz ludzie daremnie silą się zatrzymać bieg wypadków, popycha je mus nieuchronny, i niepodobna z nim wojować.

Łatwo sobie, z małym nawet darem imaginacyi, wyobrazić miły byt Starowskiego, przez czas bawienia się jego w Kuszanlu. On sam przede mną wystawił uroczne malowidło, tych drobnostek, tego nic, do którego serce tyle przywiązuje wagi: swojey poufałey i braterskiey zażyłości z Zuzanną, lubego przyjęcia, jakiego doświadczał

od młodey przyjaciółki, i tych troskliwych uprzeymości, jakich u niey był przedmiotem. Nie niémasz roskosznieyszego, nad to rozwijanie się szczere pełnego zapału kochania, i mimowolney tkliwości, w duszy, która jeszcze sama siebie nie poymuje. Jednakże potrzeba było opuścić Kuszanlu, gościnne progi Gurgina i obecność naymilszey Zuzanny. Starowski, odwołany do Kar-Ekklizyi, przez swoich naczelników, zaczął znowu zwyczayną służbę odbywać.

Po dwóch dniach od swojego powrótu przechodził około główney kwatery. Tenże sam oficer, który już raz zwrócił jego uwagę, w sposób tak nieprzyjemny, tam się znaydował, w tymże samym mundurze, z témiż samémi orderami i z czołem przykrytém tąż samą futrzaną czapką: ale jego ręka prawa, spoczywała na temlaku. Zaledwo Starowski poznał tego człowieka; futrzana czapka, okrywająca głowę jego, podnosząc się znagła, przez prędkie skinienie, jakie uczynił zwracając oczy na żołnierza, odkryła wyraźnie oblicze zbóycy tyfliskiego, i porywcy Zuzanny, z którym Starowski walczył dwakroć w trzech lat przeciągu. Niepodobna było się mylić; ta blizna, ta ręka na temlaku, ta dzikość rysów twarzy, złośliwość zdradziecka, którą z taką mocą wyraził, ponure zmarszczenie brwi za obaczeniem Starowskiego; wszystko to dowodziło, że oficer i zbóyca Georgianin, była to jedna i taż sama osoba. Łatwiey jest sobie wyobrazić, aniżeli opisać, zdumienie młodego żołnierza. Jakto! ten nędznik, który dwakroć, w trzech lat odległości, z równym uporem jak zuchwałością, kusił się o porwanie, którego sam trafunek jedynie spełnić mu nie dopuścił; ten

zbóyca, który zagroził naszemu walecznemu żołnierzowi całą swą zemstą, pokazuje się bydź jego naczelnikiem, jednym z oficerów, pod którego bezpośrzednie rozkazy, Starowski, prędzey, lub poźniey, może bydź poddany.

Zdumienie spętało kroki Starowskiego, którego to niespodziane odkrycie przeraziło: zostawał na mieyscu i nieruchomy przed obliczem swojego nieprzyjaciela, który nasunąwszy na oczy swą czapkę, wszedł natychmiast do główney kwatery. Starowski został, że tak powiem, pogrążony w swych myślach. Przewidywał swą przyszłość: żołnierz prosty, nienawidziany od naczelnika! Możnaż tu zemsty, zapowiedzianey jeszcze z taką wściekłością, uniknąć?

Godziłoż się, ażeby nieszczęśliwy kochanek Zuzanny, obwiniał swojego przeciwnika? Może jego skarga na żadnąby wiarę nie zasłużyła: brakło dowodów i świadków. Wolał przeto milczeć i czekać z odwagą przeznaczenia, jakie mu wyrok zeszle. Ale uzbroił na siebie nieprzyjaciela nadto strasznego i do tego stopnia, że nawet jego spokoyne zachowanie się, mogło bydź równie zgubne, jak otwarte natarcie: i o tém właśnie doświadczenie srogie, miało go wkrótce upewnić.

Wiadomości, jakie zebrał o tym oficerze, mało mu serca dodać mogły. Był on synem naczelnika pewney, straszliwey przez swe najazdy i rozboje, hordy, która wszakże przestraszona pomyślnością broni rossyyskiey i męztwem nieugiętych wojowników, oświadczyła uległość zwycięzcom; a w zakład jey pewności, oficer, o którym mowa, dobrowolnie przyjął służbę woyskową w szeregach tryumfujących. Znajomość dostateczna miey-

scowości, zrobiła go w wielu zdarzeniach przydatnym, zwłaszcza, kiedy chodziło o znalezienie przeprawy łatwey wśrzód skał urwistych i bezdennych przepaści: a charakter nieustraszony, odwaga na wszystko gotowa, wśpierana niejednokrotnie pomocą oycowskich hordyńców, zjednały mu wyższe woyskowe stopnie i zaszczytne odznaczenia się ozdoby. Lecz to wszystko nie wpłynęło bynaymniey na ugłaskanie dzikiego *Czeczengi*, tak się nazywał okrótnik, srogi, pełen obłudy, lekkomyślny bez miary, nie znał innego nad swoję wolą prawidła, nie miał innych zasad, nad swoje żądze, przez co wrażał wszystkim, którzy go otaczali, ten rodzay przestrachu, jakimby zwierzę drapieżne, wpadłszy do miasta, przeraziło jego mieszkańców. Pozbawiony cywilizacyi, ale z charakterem giętkim, i w dążeniach swoich niezmiennym, wkrótce się zastosował do zewnętrznych form karności woyskowey i towarzyskości. Pod temi postaciami uymującemi, pod tą pokrywą świetną, oko tygrysie połyskiwało i mordercze pazury wysuwały się mimowolnie.

Starowski doświadczył wrychle niebezpieczeństwa swojego położenia, w jakim go los i osobiste męztwo postawiło. Od tey chwili prześladowanie tajemne, o którém ci, którzy znają woysko i skład jego wewnętrzny, mogą tylko mieć jakieś wyobrażenie, zatruło wszystkie jego chwile, zniszczyło spokoyność, zakłóciło życie, nastało na jego dobrą sławę, uwłoczyło mu w obliczu naczelników, zmieniło jego przyrodzoną wesołość, jego zdrowie i jego szczęście: wszystko, cokolwiek służba zawierała w sobie trudnego, odrażającego, albo też niebezpiecznego, na nim się oparło. Do-

niesienia podstępne spotwarzyły go i zhańbiły; jego naylżeysze uchybienia w służbie, surowie były karcone; stawiono nań sidła, otoczono go szpiegami. W każdém mieyscu dał mu swoję mściwą prawicę uczuć Czeczengi. Ale upor i wytrwałość jego zemsty, nie przestawały na zasianiu zgryzot i umartwień, pod stopami nieszczęśliwego żołnierza. Cięższe oskarżenia wkrótce nań zwalono. Jego stosunki z rodziną Gurgina, za zbrodnią były mu poczytane; nayhaniebnieysze wieści o nim puszczono w obieg: przed tém kochany od swoich współtowarzyszów i w łaskach u naczelników, postrzegł, że się jednych dobre o nim mniemanie, a przyjaźń drugich, odmieniły. Cios ten przez to był straszliwszy, iż go ręka nieznana zadawała; wrog jego łączył z tą wytrwałością złoczynną, która cechowała jego własne przyrodzenie, tę głęboką chytrość, i tę rachubę zdradziecką, którą wszyscy podróżo-pisarze postrzegali u dzikich ludów w powszechności. Kapitan Starowskiego, który niejednokrotnie miał sposobność, uwielbiać prawość, szczerość, otwartość i zacność tego młodzieńca, opierał się jeszcze wszystkim wrażeniom nieżyczliwym, które się śpiknęły na zhańbienie jego charakteru i na podanie w podeyrzenie sposobu jego postępowania. Ten zacny człowiek bronił go przeciwko wszystkim; ale Starowski miał do czynienia z bardzo potężnymi przeciwnikami. Czeczengi, nadręczywszy przez czas długi nieszczęśliwego żołnierza, i okrywszy jego imie i jego osobę tłumem podeyrzeń niepewnych, uciekł się dla zgubienia go do śrzodków dzielnieyszych.

Wiosna dosyć się już rozwinęła, a wojennych działań, przerwanych od kilku miesięcy, bieg się

na nowo rozpoczynał: Starowski, wystawiony na sztych knowań i szpiegowstwa swojego przeciwnika, nie śmiał do Kuszanlu powrócić. Ale pamięć i wyobrażenie piękney Zuzanny, wzięły górę nad mądremi rostropności radami. Prosił o uwolnienie siebie na dwa dni, a otrzymawszy je wybierał się w zamierzoną drogę, kiedy kapral i trzech żołnierzy przyszło go poymać, oświadczając, iż zaskarżenie ważne zaszło przeciwko niemu i że chodziło tu o jego życie.

Niech sobie każdy wyobrazi zdumienie i zgrozę nieszczęśliwego żołnierza, stawionego przed radą oficerów jego półku, z rękoma w tył związanemi. Oblicze ponure i uroczyste, które przybrali wszyscy zgromadzeni, powiększyło jeszcze przestrach, jakim niewinny Starowski został uderzony. „Oskarżony jesteś, rzekł mu prezydent, żeś utrzymywał związki z nieprzyjacielem, i zmówiłeś się z Sidarem (1) erywańskim, że mu ułatwisz opanowanie wiosek należących do Rossyan, z których eśmy przed trzema dniami ściągnęli nasze garnizony. Odpowiedz! azali tak się rzeczy mają?"

Piorunny pocisk nie tyleby przywalił Starowskiego. „Ja! zawoła; ja Piotr Starowski! ja, którym tylekroć walczył z Persami w twoich oczach, móy kapitanie! Któż mię o taką zbrodnią może obwiniać? Kto mi ją śmie zadawać? W imie Bogarodzicy; w imie wszystkich świętych; to jest kłamstwo; przysięgam, że to jest kłamstwo! Niechay stanie oskarżyciel; ktoby on nie był, przeświadczę go, że jest potwarcą."

„—Masz, rzecze prezydent, wszelką wolność bronienia się. Wezwać kapitana Czeczengi."

(1) Gubernator wojenny u Persów.

Wtenczas ukazał się oskarżyciel, w obliczu swojey ofiary. Starowski widząc tę postać srogą i posępną, zbledniał natychmiast. Członki rady wojenney postrzegły tę nagłą zmianę, a jey oznaki, nie naykorzystniey dla oskarżonego tłumaczone były. Czeczengi zeznał: „że wczora, znaydując się na czele oddziału, któremu poruczono mieć oko na podjazdy perskie, postrzegł w oddaleniu człowieka, ubranego po armeńsku, i wysłał dwóch jezdnych, ażeby pilnie śledzono jego kroki: pokazało się poźniey, że ten mniemany Ormianin, był szpiegiem, wyprawionym przez Sidara erywańskiego, dla powzięcia wiadomości przez związki tajemne, względem poruszeń woyska rossyyskiego. Kiedy go chciano poymać, dzielny dawał odpor żołnierzom rossyyskim: niepodobna było go pochwycić żywcem; ale po śmierci znaleziono przy nim mnóztwo listów, z których jeden z nadpisem do Starowskiego, dowodził oczywiście związków jego z nieprzyjacielem." Po zeznaniu, które uczynił Czeczengi, złożono listy, w języku perskim; jeden z nich zapisany był do Starowskiego, a jego treść usprawiedliwiała oskarżenie. Na domiar nieszczęścia inny ułamek listu, w podobney zupełnie rzeczy do tego, na którym się gruntowało oskarżenie, znaleziony był pomiędzy rzeczami żołnierza. Niczém nie miał się zastawić, przeciwko tey, przywalającey zgodności listów, prócz własnych, mało w takim razie znaczących, zaprzeczań, i świadectwa kilku towarzyszów broni, którzy stawali przy jego uczciwości i dobrém prowadzeniu się. Dodał on jeszcze, iż miał w podeyrzeniu kapitana Czeczengi o uknowanie tego podstępu na jego zgubę; i z tego powodu opowie-

dział dwa zdarzenia, w których potykał się z tym oficerem, raz w Tiflis, a drugi raz w Kuszanlu. Ale ta powieść, zamiast posłużenia ku wsparciu sprawy Starowskiego, sprawiła wrażenie zupełnie przeciwne temu, jakie sobie obiecywał. Widziano w tém tylko marne usiłowanie człowieka, obciążonego zbrodnią i przywiedzionego do rozpaczy, który się chce zemścić przez potwarz za sprawiedliwe wyjawienie jego zdrady. Starowski, jedynego znalazł obrońcę w swoim własnym kapitanie, który się znał na ludziach i był doświadczonym żołnierzem: a porównywając charakter Starowskiego i jego przeszłe postępowanie, z postępkami i charakterem jego przeciwnika, dalekim był od dzielenia przekonania innych członków rady. Prosił ich, ażeby raczyli wziąć na uwagę, nową postać, w którey się sprawa ukazała, i odwłoczyć ostateczny wyrok. Ale woysko znaydowało się wtenczas w położeniu cokolwiek trudném: i gdyby porozumienia między nieprzyjacielem a żołnierzami mogły nastąpić, całe przedsięwzięcie wyprawy, mogłoby spełznąć na niczém. Potrzeba, mówiono, dać surowy przykład, i zatamować zdradę u źrzódła: tak więc nieszczęśliwy Starowski został skazanym na rozstrzelanie we dwudziestu czterech godzinach.

Śmierć jest wyobrażeniem tak poufałém dla żołnierza, iż Starowski, słuchał swojego wyroku bez trwogi. Ale uczucie sprawiedliwości zawsze panujące w sercu uczciwego człowieka; ale przeświadczenie się wewnętrzne o własney prawości skrzywdzoney przez ten sąd niesłuszny, oburzały się w nim straszliwie: a uwagi dotkliwsze jeszcze, nękały jego umysł. Jego wróg tryumfował,

i niechybnie Zuzanna, dziewica nieoceniona, stanie się jego zdobyczą. Wstręt jakiś głęboki opanował duszę młodzieńca;którego lube przypomnienia, zgroza, pewność śmierci haniebney udręczały straszliwie. Zamknięto go w starey strażnicy, ze związanemi w tył rękami, i poruczono trzem żołnierzom pilnować na przemiany jego więzienia. Była to baraka drewniana dosyć nadwerężona przez starość, obrócona drzwiami na główną kwaterę; a drzwi jey tylne wychodziły na pochyłość wzgórza panującego nad miasteczkiem. Stamtąd o kilkoro stai, wypadał wielki gościniec.

W czasie nocy poprzedzającey dzień fatalny, Starowski nic prócz jednostaynego stąpania straży nie słyszał, kiedy znagła *kto idzie!* przeraźliwie obiło się o jego uszy. *Daley!* zawołał potém żołnierz. Następnie, głos jego zdawał się łagodnieć, a w końcu dał się słyszeć odgłos śmiechu, i rozmowy wielu osób. Starowski, usiłował podsłuchać tę nocną rozmowę, którey ani słowa schwycić nie mógł, kiedy uwaga jego została przez szmer inny przerwana. Z drugiey strony więzienia, zdawało mu się, iż ręka nieśmiała i powolna, starała się w cichości podkopać fundamenta zwątloney budowy. Jakiby mógł prowadzić zamysł tego, który się tym sposobem kusi o wprowadzenie się do jego smutnego schronienia?Nie wiedział nic, i mało mu wreszcie zależało na tém. Czegoż się miał obawiać? godzinę jego zgonu wytknięto z góry. Może też ta niepewna otucha, która nie opuszcza nigdy serca ludzkiego, pozwalała oczekiwać Starowskiemu, jakiegoś ratowania się środka. Umilkł. Przez godzinę blizko tenże sam łoskot dawał się słyszeć. Wreszcie po trzykrotném stu-

knięciu o dyle, z których się składała budowa, jakby przez otwor w niey zrobiony, ozwał się głos w języku armeńskim, dosyć wprawdzie, cicho, ale był dostatecznie słyszany. Nie zasypiay tey nocy: milcz; o godzinie drugiey przyydzie ci ratunek.

Potém głębokie panowało milczenie; i wkrótce Starowski usłyszał, jak się rozpoczynały na nowo, z jedney strony odgłosy radośne, z drugiey łoskot podziemny, o którymeśmy wyżey wspomnieli. Po godzinie przeszło, Starowski postrzegł, że się jedno szuło baraki, wpuszczone do ziemi, chwieje, a część ziemi podkopana przez cierpliwą pracę jego wybawiciela opadła, formując otwór na stop kilka szerokości; z którego ukazała się naprzód ręka, potém głowa, a następnie cały człowiek. Był to Ewannis, Gurgina syn poczciwy. Ale nowa się trudność nastręczyła: jakim sposobem, żołnierz Rossyyski może korzystać ze wspaniałomyślney zręczności Ewannisa, mając ręce związane? Wybawiciel jego wynalazł na to sposób; wtłoczył go głową do otworu, i tak obróconego wywlekał z więzienia: ale otwor był ciasny i nieforemny, ziemia opadając dusiła biednego żołnierza i zasypywała mu oczy: naymnieyszego narzekania, naymnieyszego nawet niedobrowolnego jęku, nie wydał z boleści. Ta trudna i pełna ludzkości praca trwała czas niemały. Wpół uduszony i pokaleczony nasz bohater znalazł się za więzieniem. Ale, na ileż to jeszcze potrzeba było zdobywać się ostróżności! ileż to ponosić trudow! W pewnych odległościach rozstawione straże zwracały oczy na drogę; chyłkiem przeto i prawie pełzając oddalać się musieli: a Starowski mając związane ręce, zaledwo leźć zdołał. Ewannis był przymuszo-

ny wziąć go na barki i tak unosić, zawsze pochylony i pełzający: korzystał przynaymniey z nierówności gruntu, zasłaniającey ich przed bacznością warty.

Ale po tey przeprawie, tak niebezpieczney i tak mordującey, co za radość kiedy przybyli do domu starego Gurgina! Jak słodkiego spoczynku Starowski kosztował, pod jednym dachem z piękną Zuzanną. Opowiedziano mu jak Ewannisowi i jego bratu młódszemu, korzystającym z niedbalstwa straży, i z upodobania żołnierzy na niey zostających, do wyborney armeńskiey gorzałki, udało się, jednemu zatrudnić baczność wartowników Starowskiego, a drugiemu wykopać otwór przez który on się ratował. Przysposobiono mu kryjówkę, w domu Gurgina, i postanowiono ażeby z niey aż do nowych rozporządzeń nie wychodził.

Ze szczęściem, jakiego kosztował Starowski z uratowania życia, i z pobytu w jednym domu ze swoją młodą kochanką, mieszały się wszystkie troski i wszystkie niespokoyności, na które go, jego położenie wystawowało. Zbieg, skazany na śmierć, jakim sposobem uyść zdoła poszukiwań, swoich ziomków, którzy okrywali kray ten cały, i byli jego wielowładnymi panami? Uciec do Persyi? byłoby się to przyznać samemu do zadawaney zbrodni. Pozostać w Kuszanlu? byłoby narazić życie i majętność Gurgina. Trzy dni upłynęło, a Starowski ukrywał się w niewielkiey dolney izdebce, którą mu za pomieszkanie naznaczono: kiedy jey drzwi, odmykając nagle Ewannis zawołał: ,, Ludzie jezdni przybywają z tamtey strony. Czy słyszysz tentent koni i psów szczekanie? To są, rzecze biedny Starowski, nasi Koza-

cy, którzy przybywają mnie poymać.— Nie znaydą ciebie w tey kryjówce, rzecze młodzieniec. Zostań spokoyny."

Wkrótce Ewannis powrócił do izby swojego przyjaciela, niosąc swoję babkę w towarzystwie Zuzanny: „Persowie! Persowie! zawoła; zginęliśmy! Poruczam twojey straży i opiece moję siostrę i moję babkę. Może to mieysce uydzie ich szatańskiego śledzenia. A przynaymniey będziesz ich bronił."

W rzeczy samey była to zgraja maroderów perskich, którzy przybywali na rabunek włości Gurgina: nieco potém jak Ewannis poruczył dwie kobiety straży żołnierza rossyyskiego, huk ognistey broni dał się słyszeć, a blask jaskrawy oświecił izbę ustronną, w którey się te trzy osoby ukrywały. Budynki to Gurgina podpalone od zbóyców płonęły. Starowski wypada unosząc dwie kobiéty z pomiędzy płomieni gęstego dymu, i zwalisk pożogi. Za każdym krokiem, pokrycie zawalało się nad jego głową, dym go oślepiał; i kilkakroć ledwo nie upadł ze swoim podwóynym ciężarem, wśrzód kurzących się zwalisk. Wreszcie, jakożkolwiek wydobył się z tych ruin; ale wrażenie powietrza świeżego zawróciło mu głowę i padł twarzą ku ziemi. Po odzyskaniu zmysłow, obaczył ze zgrozą trupa staruszki, którą przestrach, ruch nagły, i dusząca gorącość ubiły w jego ręku. Płomienie go otaczały, jezdni przemykali się ze stron wszystkich unosząc swoję zdobycz. W niewielkiey odległości, leżał skrwawiony tułow wieśniaka, któremu głowę ucięto: głowa ta zapewne pokazana była Szachowi perskiemu, jako dowód mniemanego tryumfu odniesione-

go nad Rossyanami. Ale cóż się stało z Zuzanną? Starowski obraca się, widzi dwóch Persów unoszących kobiétę, poznaje głos Zuzanny; porywa głównią kurzącey się podpory i jak wściekły rzuca się na dwóch rabusiów. „Ta kobiéta wyłącznie jest całą zdobyczą, którey pragnę, mówił z nich jeden. — Masz ją, odpowiedział drugi.” Ten, który się upominał o Zuzannę, był to Czeczengi.

Starowski poznał go w ubiorze perskim i natychmiast miotając przeciwko niemu oręż płonący, którym był uzbrojony, w twarz go ugodził. Czeczengi uchylił się, a głównia, która, zdawało się, że jemu śmierć zada, otarła tylko z lekka jego lewy policzek, i spadła mu na udo. „Tysiąc złorzeczeń na twoję głowę! zawołał Czeczengi; ale się zemściłem: twoja kochanka jest w mojey mocy; a to dla ciebie w upominku. „To mówiąc wystrzelił z pistoleta do żołnierza. Lecz nim pośpieszył to uczynić; towarzysz jego, trącając go w ramie zwichnął wystrzał, a kula świszcząc przeleciała ponad głową Piotra. „Pers zaś tak się odezwał do Georgianina. „Zatrzymay twoję zdobycz, ale wara od jeńców Szacha.”

Natychmiast Starowskiego skrępowano, i posadzono z tyłu za jednym z kawalerzystów na koniu: oglądał on, jak nieszczęśliwą Zuzannę uprowadzał Czeczengi; i Perska eskorta udała się w podróż. Można sobie wyobrazić udręczenia tego nieszczęśliwego, wycieńczonego trudem, zbitego, skrępowanego i patrzącego się jeszcze na tryumf swojego wroga. Ale przemiany właściwe woynie, i stan nieładu w jakim się ta kraina znaydowała, gotowały mu nowe utrapienia i nowe niedole. Odwrót maroderów perskich odbywał się

w nieładzie, powoli: i był zamitrężony, przez mnogą zdobycz, jaką chciwie uprowadzali. Nieraz woły i jałowki, które się skupiły, na ścieżkach ciasnych, wśrzód gór, przedzielających Armenią od Persyi, runęły społem w bezdenne przepaści. Po pierwszym dniu podróży kiedy wstępowali do niewielkiego gaju położonego na wyniosłości naywyższey góry, człowiek jadący konno, wydał krzyk przedłużony, wystrzelił z pistoletu do pierwszego jezdzca z hordy perskiey, i ukrył się w gęstwinie lasu. Persowie wpadli na podjazdy rossyyskie, poruczone oddziałowi Kozaków: spotkanie się niespodziane, które zaczęło trwożyć naszych maroderów; ale potém zabezpieczyli się mniemając, iż mieli tylko do czynienia z dwóma lub trzema ukraińcami, a nabierając męztwa odpowiedzieli, przez wycia przeraźliwe i przedłużone wrzaski na okrzyk nieprzyjaciela.

Oszukali się. Ze wszystkich stron błysnęły długie dzidy kozackie. Wkrótce Persowie pierzchając w nieładzie, zostawili swoich jeńców i całą zdobycz nieprzyjacielowi. Starowskiego odprowadzono do główney kwatery, gdzie zaraz poznany został, jako ten sam żołnierz, który skazanym będąc na śmierć, ratował się ucieczką. Wsadzono zatém go do ciaśnieyszego i warownieyszego tarasu, gdzie nieszczęśliwy, oczekiwał tylko chwili ostatniey swojego życia i swoich nieszczęść.

Takie było położenie młodego żołnierza, kiedy zdarzenie nagłe, przesilenie się nieprzewidziane, zmieniło postać wypadków: przypadek częstokroć bardziey bywa romansowy, aniżeli utwory wyobraźni: i niekiedy rzeczywistość, jest nay-

niepodobnieysza do wiary. Człowiek zostający czas długi przy Czeczengim, i który mu ślepo służył za narzędzie, stanął przed radą wojenną, która się zebrała w zamiarze utwierdzenia powtórnie wyroku śmierci na Starowskiego. Tam on zeznał, że jego pan, kapitan Czeczengi, rzeczywiście w poprzedzającym tygodniu splądrował Kuszantlu: że jego stosunki z Sidarem erywańskim i dostateczna znajomość mieyscowości, ułatwiły mu do tego sposoby; że jego zamiarem głównym było porwanie młodey dziewczyny, nazwaney Zuzanna, córki Gurgina, którą on pierwszy raz obaczył w Tiflis, i którą już porwać kusił się wielokrotnie; że listy do Starowskiego pisane były przez tegoż samego zdraycę, który go doniosł, a Czeczengi je dyktował: nakoniec, że kapitan fałszywie nastawał na żołnierza rossyyskiego chcąc się pomścić dwóch ran przez niego sobie zadanych: co zaś do świadka; tenże Czeczengi odmówiwszy mu przyrzeczoney za zdradę summy pieniędzy, o którą się upominał i rozsrożony wymówkami jego wystrzelił doń tyłem ku sobie obróconego, z pistoletu: świadek przeto, widząc się wystawionym na złość i zemstę tego oficera szuka bezpieczeństwa w wyznaniu prawdy i w oddaniu się bezwarunkowém na wolą sędziów.

Stawiono w obec, Starowskiego, sędziwego Gurgina, i Czeczengiego; prawda zeznań świadka wydała się na jaw. Czeczengi poszedł na mieysce Starowskiego i przypłacił głową swoje zuchwalstwo i swoję chytrość. Nakoniec Zuzanna, którą okrótnik powierzył straży jednego ze swoich wspólników, oczekując swobodney chwili, w któreyby mógł spełnić swoje zamysły bez obudzenia

podeyrzeń, poślubiona została, młodemu i walecznemu Starowskiemu. Po niejakim czasie, strzaskano mu lewe ramie w pewney potyczce: osiadł więc ze swoją małżonką w Tiflis, i tu mi opowiedział swoje przygody dziwne, niebezpieczne, a nawet poetyczne, do których jego stan, i jego stopień prostego żołnierza, naymniey go zdawały się przeznaczać: prawdziwy dramat, tém bardziey uderzający, że bohaterém jego jest człowiek z gminu, a wypadki, są w wysokim stopniu romansowe. Ta historya i stąd jeszcze nie małey jest zalety, że nam daje wyobrażenie o tym kraju, który był kolebką cywilizacyi starożytney, i który dziś cywilizacya nowoczesna zpod jarzma barbarzyńskiego oswobodziła.

POEZYA.

Wiersze Franciszka Rysińskiego *).

1.

Duma po stracie majątku przez exdywizyą.

Próżno widzę czczym kłopotem,
Siebie martwić, niebo kłócić;
Trzeba teraz myśleć o tém,
Jak się w nędzy śmiać nie smucić.

*) Do dwóch Rysińskich: Jędrzeja i Samuela, znanych w Literaturze naszey pod imieniem poetów (Bent. Hist. Liter. Pol. T. I.—Juszyń. Dykc. poet. T. 2), za czasem przybył i trzeci, Franciszek Rysiński, niegdyś w sądzie głównym witebskim 1go departamentu prezydent, który za życia swojego na Białey-Rusi, pozyskał sławę poety, przez swe wiersze, pisane z wielką łatwością, w polskim i rossyy-

Goły jestem; lecz w kłopocie,
Stąd mi lżeyszy ciężar nędzy,
Że dni moje pędząc w cnocie,
Nie dbałem o zbiór pieniędzy.

Dziś mi tylko pozostały,
Na ulżenie trosk, cierpliwość,
W przeciwnościach umysł stały,
Skarb móy rozum i poczciwość.

Na resztę lat, móy majątek,
Ziemia ta, na której stoim,
Naydrobnieyszy fantów szczątek,
Już od dziś dnia nie jest moim.

Oto ten domek nikczemny,
Z tém wszystkiém, co w nim widzicie,
Kredytorom mym przyjemny,
Wygląda na ich przybycie.

Był ten dom wszystkim otwarty,
Przychodzień w nim się weselił,
Nędzny z niego bywał wsparty,
Bom z biednymi wszystko dzielił.

Tak mi widzę, los przeznaczył:
Żeby w przykrey mojey bidzie,
Sam na sobie to zobaczył,
Jak za szczęściem wszystko idzie.

---

skim języku. Z licznych poezyy Franciszka Rysińskiego, pozostałych w ręku znajomych i przyjaciół, kilka udzielamy teraz publiczności, mając zamiar w poźnieyszym czasie zbiór ich pomnożyć, i z biografią autora wydać: jeśli szczegóły jego życia, dotychczas mało nam wiadomego, łatwo się zgromadzić pozwolą. *X. A. K.*

Ten kto ze mnie został panem,
I dziś opływa w dostatku,
Chytrze wzdycha nad mym stanem;
Lecz nie chce wesprzeć w upadku.

W szczęściu miałem tłum przyjaciół,
Co mi wiecznie sprzyjać mieli;
Lecz gdy los mię z mańki zaciął,
Wszystkich razem djabli wzięli.

Niech mnie jak chce zły los gniecie,
Ja się w mey nędzy nie troszczę;
Gdy poczciwym słynę w świecie,
Szczęścia innym nie zazdroszczę.

2.

Odpowiedź Professorowi Filozofii przyznającemu się, że mimo swoję naukę boleje i płacze z bojaźni utraty przyjaciółki, niebezpiecznie chorey.

Nie jestto słabość, kiedy filozofa dusza,
Uczuciem obcey klęski do żalu się wzrusza;
Owszem, jestto zacnieysza cnota przed innemi,
Być tkliwym w cudzych biedach, a gardzić własnemi.
W ucisku przyjaciela, który żonę traci,
Wierną, miłą, rozumną, przy cudney postaci,
Która jest jego skarbem i szczęściem na świecie,
Pewnieby i sam Zeno zapłakał jak dziecię.
Ty zaś, co od Zenona w obcowaniu słodszy,
W tkliwościach więcey czuły, a w latach zbyt młodszy,
Tém słuszniey powinieneś przekonać w złey doli
Przyjaciela, że ciebie zły jego los boli.

Lecz nie trzeba o życiu jey rozpaczać jeszcze,
Gdyż moje tak przeczuwa serce (Bóg day wieszcze).
Że dzielna mocy Bożey mistrzyni natura,
Zawstydzi słabą wiarę ucznia Epikura.

3.

Odezwa do nayszanownieyszey przyjaciółki, Franciszki Bohomolcowney, w czasie cztero-niedzielney choroby na nogę.

Większy ból w sercu czując, niżli w nodze,
Choć więcey jeszcze cierpię na umyśle,
Posłuszny jednak rozumu przestrodze,
Tłumiąc żal w duszy, o smutku mniey myślę.

Z wesołą twarzą witam gościa w domu,
Pierwszy się z rzeczy zabawnych rozśmieję;
Nie dając tego poznawać nikomu,
Co ty wiesz, i co z mém się sercem dzieje.

Prawda, że noc mi dziś, równie jak inne,
Zeszła bezsenna, lecz to tylko *ścienie*
Niemey wiadomo: bo łzy hoyno-płynne,
I gorzki smutek skryły nocne cienie.

Jest to zaiste ulga w tkliwey bidzie,
Mniey liczyć świadków wewnętrzney tęsknoty:
Bo gdy wspaniałość dziś wśród nas w ohydzie,
Censury nadto, a zbyt mało cnoty.

Więc cóż mi nada zasmucona postać,
W oczach tych, którzy w naywyższym sekrecie,
Chcąc oszczercami cudzey sławy zostać,
Mają każdego honor na tandecie.

Tobiebym moje rad wyznał skrytości:
Boś ty daleka od tak niskich wniosków,
Bym podle szukał czyjey bądź litości,
Lub karku zginał przed sprawcą mych trosków.

W tobie ten widny przymiót dziś tak rzadki,
Który jest cechą nie mniey rzadkiey cnoty,
Że w człeku cenisz rozum nad dostatki,
A w przyjacielu stałość i przymioty.

Takato przyjaźń jest dla mnie skarb drogi,
O którey gdy ty upewniasz mię jeszcze,
Nad Kreza skarby i Akasta brogi,
Wyżey to szczęście w moim sercu mieszczę.

Już mi się teraz pokóy miły zwraca,
Zginął ból serca, i jużem mniey chory;
Pomyślny skutek lekarzów ma praca.
Franusiu! tyś mi doktor nad doktory.

4.

Wieczor w Oświeju.

Wpośród niewinnych wieczornych rozrywek,
Rozkosz, którey się umidzgają bogi,
Z gronem nimf pięknych, kraśnych czarnobrywek,
Oświeyskie względnie nawiedziła progi.
Na których przyyście, z wielu miar szczęśliwe,
Brząknął muzyczny chór w strony pieskliwe.
Umilkł szmér w naszey biesiadzie, a w sali,
Zebrani goście rzesko zapląsali.
Co przemysł umie, co sztuka wydoła,
To wszystko w pląsach tych widzieć się dało,

Z gładkością taktu mnóstwo odmian koła
Sztucznie zawiłych zręcznie rozwijało,
A szybkość biegu po ścieżkach zawiłych,
Mnożyła figur tłum rzadkich i miłych.
Lecz nie dość na tém, że w gromadnym chorze,
Rzesza nimf pięknych widok nasz bawiła,
Plac wnet się odkrył na sali przestworze,
A na nim śliczna Dorys się zjawiła.
Z współtowarzyszką we wszystkiem dobraną,
Skinęła na chór, a wnet im zagrano.
Odzież jey lekka, skromnie podwiniona,
Giętkiey taliyce raźnie pochlebiała;
Warkocz toczył się z szyi na ramiona,
Które przepaska z kwiatów ozdabiała,
Tak od niechcenia uwity w pierścienie,
Za korónkowe gdzieś zapadał cienie.
W takiey postaci nadobna dziewica,
Rzeskim podskokiem celując ziemiany,
Drgnęła nożkami, niby błyskawica,
W tysiączne figur przechodząc odmiany,
A niedościgłym krok zmierzając traktem,
Rządzić zdała się muzyką i taktem.
Bieluchną rączką fartuszek ugięty,
Igrał z wiatrami przy każdym podskoku,
A muślon czasem od nożek odjęty,
Marzył ponęty ciekawemu oku;
Niby na afront chciwych oczu godził,
Chęci omamiał, a ciekawość zwodził.
Ktoś stojąc z tyłu szepnął mi do ucha:
Mospanie, ona nas wszystkich czaruje;
Moc to zapewne zaklętego ducha,
Szybkością nożek tey panny kieruje.

Jam mu rzekł na to: nie trzeba tam czarów,
Gdzie przy talentach tłum natury darów.

5.

Piosnka na nótę: Śpiewał słowiczek noc całą.

Wzdychał chłopczyna dzień cały,
Po rozstaniu się z Justyną,
A gdy go chęci zwracały,
Widzieć raz jeszcze jedyną;
Z tych miar nayrzewniey łzy ronił,
Że mu to ziścić los bronił.

Idzie więc cały spłakany
Tam, gdzie go przymus kieruje,
Nad tém się biedząc stroskany,
Czy też Justyna to czuje:
Jak się on smuci i bidzi
Wtenczas, kiedy jey nie widzi.

Na każdym kroku swey drogi,
Gdy mu obficie łzy płyną,
Wpośrzód nadziei i trwogi,
Tak w myślach gadał z Justyną:
Ty pewnie tego nieczujesz ,
Ile łez moich kosztujesz.

Usłyszał chłopca wzdychanie
Ten, co rozrządza miłością,
I wnet to szczere kochanie,
Nagrodził wspólną czułością:
Justyna wstydem spłonęła ,
I po chłopczynie westchnęła.

6.

Duma w samotności Szczepana Szczotkowskiego.

Nie dbam na łudzące blaski,
Któremi się pycha chlubi,
Za nic mam u szczęścia łaski,
Co intrygi, podłość lubi.

Co się chciwie ubiegacie
Za próżném w świecie znaczeniem,
Niewinnych roskosz nie znacie,
Pod samotnym domu cieniem.

Mierność, z potrzebami zgodna,
Moich jest zabiegów celem;
Chociaż przyjaźń jest zawodna;
Kontent jednak z przyjacielem.

Co mi w życiu los przeznaczył,
Spokoynie na tém przestaję;
Los z ludźmi zawsze dziwaczył;
Nie to, co chcemy, nam daje.

Siedząc w swey chaty zaciszy,
Mam swe troski, mam roskosze;
Nikt mych żalow nie uszłyszy,
Kiedy cierpię, kiedy znoszę.

Niech zły sąsiad co chce plecie;
Niech oszczercy sądząc błądzą;
Tak się zawsze działo w świecie:
Podli ludzie, podle sądzą.

Moim sędzią jest sumnienie,
Kiedy to mi nie wyrzuca,
Błogiey wieczności wspomnienie,
Słodycz w moje troski rzuca.

Nie wiele człeku potrzeba
W szczupłym zakresie żywota:
Bogactwem: domek, kęs chleba;
A szczęściem prawdziwem: cnota.

Lisт do M. J. Weterana, mieszkańca wioski, zamykający odpowiedź na pytanie: *„czém się teraz „bawisz.“*

. . . . . . Muto quadrata rotundis. Horat.

Kiedy z woli wyroków, bieg dających światu,
Życia mego poranek gaśnie nakształt kwiatu,
Co wśród łąki jedwabney swóy kielich rozwinął,
Co jaśniał nieceniony, nieceniony zginął,
Ani go wierna drużka uplotła do wianka,
Ni czoło przesłoniła wstydliwa kochanka;
Równie mi sprzeczne Niebo i los niełaskawy,
Ukazawszy gwiazdeczkę miłości i sławy,
Wśród mamiących nadziei, gorzki żal obudził,
I tém, srożey mię dręczy, im roskoszniey łudził;
Gdy stargana myśl moja i dusza rozbita,
Czarne smutku obrazy i w przyszłości czyta,
Dostoyny Deputacie! dozwol na twém łonie,
Osuszyć mdłą źrzenicę, która we łzach tonie,
I z twey duszy zamożney w niepowszednie cnoty,
Przejąć dla zmysłów wzory, dla serca przymioty. —

Nie ten, co marnym blaskiem oczy gminu zaćmi,
Ni co władzą szeroko rozwinie nad braćmi.
Obcy tkliwym uczuciom, sam się w sobie gubi,
Nie taki się miłością u świata pochlubi.
Komu żywiołem cnota, kto w światła iskierce,
Ludzkość uznał bydź światem, a świątynią serce,
Kto pracy i słuszności dni swoje poświęci,
Tego sława pożyje w kościele pamięci,
Wdzięczniey, niżeli laury, ludzką łzą obmyte,
Niżli pamiątki dumy w dyamencie ryte. —
Jedni wyższość gruntują w cnocie i mądrości,
Inni w powabach, którym słabsza myśl zazdrości,
Siła tych, co w posagu szczodre biorą spadki,
Przecież dar niewalania posiadł arcy-rzadki.
Nie próżność Ziemianinie! ni pochlebstwa dymy;
Lecz mi echo publiczne te natchnęło rymy,
Że kto tylko Cię pozna, w pierwszey zaraz dobie,
Innym zmysły rozdzieli, serce odda Tobie,
Że znęconym w twą ustroń czarodzieyską siłą,
I myśleć z Tobą słodko i rozmawiać miło.
Pokąd mię wzmagać będzie pamięć niepodwładna,
Nie zatrze czasu przeciąg, ni przygoda żadna,
Tey niebieskiey roskoszy, którey nektar spiłem,
Którey balsamem rany serdeczne goiłem,
Gdym zabywał frasunku twoich rad ozdobą,
I słodkością momentow przepędzonych z tobą.
Dziś w samotném ustroniu, lecz w piękność bogatém,
Kędy myśl dla mnie bóstwem, wyobraźnia światem,
Gdzie mi anioł złey-wróżby pokoju nie płoszy,
Gdzie przyszłość dniem nadziei, przeszłość snem rozkoszy,
Gdy wśród posępney nocy gay zaszumi głuchy,
I smętne z zimnych grobow wyydą błądzić duchy,

Lub gdy się toczy xiężyc po niebie pogodném,
Czerpam ulgę w tym ziemi synu pierworodnym,
Co jaśniejąc gwiazdzistym okolony wiankiem,
Przyjacielem jest smutnych, myślących kochankiem;
Albo żal powierzając naturze nieżywey,
Marzę o znikłém szczęściu, o kochance tkliwey.
Niestety! już ją tracę! .... już pożegnać muszę,
Piastunkę mych nadziei, szczęścia mego duszę,
Z którey oczek tchnie wiosna urokiem majowym,
Którey spóyrzenie dla mnie było życiem nowém,
Za którey jeden uśmiech oddałbym z ochotą,
Drogie wonie mogolskie, droższe Indów złoto;
Którey serce tak czyste, piękność tak niebieska,
Jak gdy na córkę wiosny, spłynie zorzy łezka.
Lecz biedny! próżno myślą luby obraz gonię ....
Już nas na wieki groźne rozłączyły dłonie!
Długi! ... długi wiek cierpień! aż się uyrzem zbliska,
Gdy, iak promienie słońca, lecą do ogniska,
Tak wiążące nas z ziemią stargawszy łańcuchy,
Uścisną się w Syonie nasze czyste duchy.
To znowu myśl pojona blaskiem zgasłych wieków,
Gubi się w labiryncie niezbadanych Greków,
Gdy te dzieci swobody, ledwie z rąk Natury
Wybiegłszy, Iliońskie oblegały mury.
Tam i w sprawach potrzeby i w chwilach pokoju,
Wdrażał się drobny Greczyn do rady i boju,
I na wzór Pytonissy, co skrytościom zgadła,
Czarnoxięzkie przyszłości odlewał zwierciadła.
Stąd rosły w niższey dobie do sławy ponęty,
Olimpiyskie igrzyska, Areopag święty;
Tam ziarno wielkich myśli, tam potęgi gwiazda
Wystrzeliła, jak piorun, z Macedonów gniazda.

Tam kochanek Fedona, chciwe światła mnóstwa,
Uczył o duszy świata, o jedności Bóstwa.
Mniey ciekawy, jak Bramin, stroyny w szaty ciemne,
Tknięciem roszczki zaburzał krainy podziemne;
Jak wpośród szemrań czerni, by jey gwar uśmierzyć,
Nazwał przesąd świętością i rozkazał wierzyć.
Pogardzał nim Hellenin niosący za piętno,
Myśl boską, serce wielkie i duszę pojętną.
Platonie! gdym w szczęśliwszey wieku mego dobie,
Lubując twe piękności rozkochał się w tobie,
Kiedy z twą xięgą w ręku, trudne do przebycia,
Przebiegałem królestwo myślenia i życia,
Mógłżem zbadać twe bóstwo obrawszy za godło,
Że w niém znaydę słodkości i goryczy źródło?
Że krążącym po świecie z Twoich prawd pochodnią
Tkliwość będzie tyranem, czysta miłość zbrodnią?
O! bogdajem pod ciężar, co me piersi łamie,
Lub tępszych nabył zmysłów, lub silnieysze ramie;
Lecz choćby się mych nieszczęść przepełniła miarka,
Nie uyrzysz wTwym wyznawcy serca niedowiarka,
Bo mi święta myśl Twoja źrzenicę osuszy,
Wyświeceniem nadgrody w nieśmiertelney duszy.
Tak pieszcząc wśród samoty lubą sercu ranę,
Sciągam myśli rozpierzchłe i łzy rozsypane,
Gdy dusza błądząc w cieniach podniebnego globu,
Wzmaga się i zapada jak lampa wśród grobu;
Niecierpliwa, jak strumień, jak morze niesyta,
Każdą chwilkę pożera, każdą nowość chwyta,
Lub ciekawie ze drzeniem badając wyroku,
Przegląda się w przeszłości, jak xiężyc w potoku.
Lecz radość, Deputacie! i pociecha żywa,
Naywdzięcznicy dla mey duszy z Twoich ust wypływa,

I póki mi w źrzenicach nie ściemnieje słońce,
Będę Cię czcił, jak oyca, kochał jak obrońcę.

H. Klimaszewski.

Natręt. Satyra Horacyusza. *Tłumaczył Xiądz Antoni Moszyński Pijar.*

Ibam forte via sacra, sicut
meus est mos. Xię. I. Sat. 9.

Fraszkami, jak zwyczaynie, mając myśl zajętą,
Szedłem razu jednego przez ulicę świętą.
Wtém ktoś, z samego tylko znany mi nazwiska,
Spotyka mię na drodze, i gdy dłoń mą ściska,
Jak się masz, luby, rzecze przyjaźni wyrazem.
—Dosyć dobrze, do usług— gdy szedł daley razem,
Spytałem: czyli czego chce odemnie jeszcze?
—Chcę, byś mnie poznał: w rzędzie uczonych się mieszczę.
Rzekłem, poważać jego rzecz dla mnie jest święta.
Tymczasem, chcąc jakkolwiek pozbyć się natręta,
Tom podwajał me kroki, to nagle stawałem,
To coś chłopcu mojemu do ucha szeptałem.
A pot zlał mnie całego w niezwykłym sposobie.
O szczęśliwyś, Bollanie, pomyśliłem sobie,
Coś natrętów od siebie łajaniem oddalał!
On znowu, to ulice, to miasto wychwalał,
To o tém, to o owém, bezustannie gadał.
Kiedym na jego mowę nic nie odpowiadał;
Widzę, rzekł, iż mnie pragniesz pozbyć się... daremnie!
Dokąd póydziesz, mieć będziesz towarzysza we mnie.
W ktorąż stronę iść myślisz, czyli wiedzieć mogę?
— O! daleko . . . nie życzę puszczać się w tę drogę.

Wielcebyś się utrudził. Podróży mey celem
Jest, zobaczyć się z jednym moim przyjacielem,
Którego dóm daleko nader położony,
Przy Cezara ogrodach, z tamtey Tybru strony.
— Nie lenię się, i będę towarzyszył tobie.
Spuściłem uszy, właśnie jak osieł w tey dobie,
Kiedy się większy ciężar na grzbiet jego kładnie.
On znowu, jeśli, rzecze, znam siebie dokładnie,
Pewienem, że nademnie, w przyjaciół twych rzędzie,
Ni Waryusz, ni Wiskus, milszym ci nie będzie.
Bo któż zgrabniey odemnie wiąże tany skoczne?
Kto wiersze pisze prędzey? a gdy śpiewać poczną,
Samego Hermogena zazdrości nabawiam.
Przerywam, i w ten sposób do niego przemawiam:
Maszli matkę, lub krewnych, którymby twe zdrowie
Potrzebném jeszcze było?— Nikogo, odpowie:
Wszystkich już nie dopiéro dół grobowy kryje.
Szczęśliwi! rzekłem w duchu, a ja jeszcze żyję.
Dobiy mnie, bo już blizki jestem tey godziny,
O którey niegdyś wróżka z Sabinów krainy,
Przepowiadała, kiedym był dziecięciem jeszcze.
Dziécka tego, (te były wyrazy jey wieszcze)
Ni trucizna, co w sobie jad śmiertelny mieści,
Ni podagra, ni kaszel, ni kolek boleści,
Ani go zgładzi oręż nieprzyjaciół mściwy,
Lecz go kiedyś zamęczy natręt gadatliwy.
Skoro więc do lat dóydzie, gdy rozum mieć będzie,
Niech takiego człowieka wystrzega się wszędzie.
Już było po dziewiątey z północy godzinie,
Kiedyśmy się zbliżyli pod Westy świątynię.
Właśnie miał on na sądy stawić się w tey dobie,
Lub przegrać swoję sprawę.— Jeślim miły tobie,

Chodź ze mną, rzekł, na sądy; nie długo zabawię.
--Niechay zginę, jeżeli lub znam się na prawie,
Albo jeśli rzecznikiem kiedykolwiek byłem.
Sam nakoniec wiész, dokąd iść postanowiłem.
—Niewiém, rzecze, co robić, czy zaniechać sprawy,
Czyli ciebie opuścić?— mnie, jeśliś łaskawy!
— O! bynaymniey,— to rzekłszy, piérwszy iść zaczyna.
Trudno walczyć, więc idę; a on znowu wszczyna
Rozmowę; — Jak też tobie Mecenas się zdaje?
— Na szczupłey, rzekłem, liczbie, przyjaciół przestaje.
Mąż rozsądny, i umie szczęścia swego użyć.
Mógłbym tobie, powiada, bardzo się przysłużyć,
Jeślibyś mnie do jego domu zaprowadził.
Ręczę, wszystkich od niego wkrótcebyś odsadził.
—Nie takim my tam żyjem, jak mniemasz, sposobem.
Dóm ten cnoty przybytkiem, intrygi jest grobem.
Ani mię to obchodzi, nie zayrzę nikomu,
Że kto z tych, którzy mają wstęp do jego domu,
Większą od mey posiada naukę lub mienie.
Każdy tam swoje mieysce, swoje ma znaczenie.
—Wielkąś mi rzecz powiedział, ledwo to poymuję.
—Nic nad prawdę.— Tém większą żądzę w sobie czuję,
Tém mocniey pragnę, bliżey męża tego poznać.
—Chciey tylko, a choć przyydzie z razu przeszkód doznać,
W końcu skutek pomyślny znaydzie twa usilność.
—Nie zaśpię, naprzód datkiem zjednam sług przychylność.
Gdyby mi dzisiay wstępu do niego wzbronili,
Nie zrażę się, sposobney będę czekał chwili,
Będę często na drodze szukał z nim spotkania,
Będę go przeprowadzał do jego mieszkania.
Nic bez pracy nie przyydzie— Gdy tak się rozwodzi,
Oto Fuskus Arystey drogę nam zachodzi,

Z którym oddawna przyjaźń łączyła mnie święta,
I który doskonale znał tego natręta.
Stanęliśmy: on pierwszy pytanie mi zada
Zkąd idę? dokąd zmierzam? i sam odpowiada.
Ja w chęci by on wreszcie moję skończył mękę,
To ciągnę go za suknią, to ściskam za rękę,
To inne znaki czynię; on z śmiechem udaje,
Że czego po nim żądam zgoła nie poznaje.
Gdy krew wrzała w mém łonie, chciałeś, rzekę, zemną
Pomówić, i rzecz jakąś odkryć mi tajemną.
— Pamiętam! lecz innego powiem ci to czasu;
Dziś bowiem trzydziestego święto jest szabasu.
Śmiałżebyś więc żydowskiey urągać się wierze?
— Niémam, rzekłem, żadnego skrupułu w tey mierze.
— Ja zaś mam go, i przeto mówić dziś nie mogę.
Więc na rzeź mnie rzuciwszy, w dalszą poszedł drogę.
Gdy myśl moja obecną niedolą zajęta,
Oto nagle przypada przeciwnik natręta,
I całém gardłem krzyczy: a dokąd niecnoto?
Mnie zaś wzywa na świadka; zgadzam się z ochotą.
Wnet ciągnie go do sądu, krzyk się wielki wszczyna...
Tak przecię ocalałem łaską Apollina.

Przyjaźń (*z francuzkiego*).

Luba przyjaźni! darze niebios drogi!
Spraw! niech twym ogniem serce nasze płonie.
Ten próżen troski, wiek przepędza błogi,
Komu się zdarzy żyć na twojém łonie.

Nayczystsza roskosz w twém słodkiém ogniwie.
Czas darzy ciebie wdziękiem coraz innym;
I człowiek byłby szczęśliwym prawdziwie,
Gdyby cię znając, umiał być niewinnym.

Tenże.
